Rok XI. Wrzesień, 1936 Nr. 9.



Cena N-ru pojed. 20 gr. Pren. roczna 2 zł.

TREŚĆ NUMERU:

Myśli na dziś... (Z okazji Uroczystości M. Boskiej Bolesnej. — Marja Teresa, królowa francuska, Tercjarka zakonu Serafickiego. — Trzy drogi doskonałości, — Dlaczego tak mało pożytku z tylu spowiedzi? — Gawędy Ojca Kapistrana. — Matka prymicjanta, — Jak to Basia się umartwiła, — Słońce Sprawiedliwości, — Kronika.

Ś. † P.

Jan Józef Wdowiak

Kongregacja III Zakonu św. O. Franciszka w Kaliszu straciła w osobie zmarłego, bardzo gorliwego członka, który mimo sędziwego wieku pełnił niemal do ostatniej chwili funkcję skarbnika.

Ś. p. Jan Józef Wdowiak urodził się w r. 1848 w Słupcy, ziemi Kaliskiej. Jako 15-letni młodzieniec dał się porwać prądowi powstania i walczył z najeźdźcą pod dowództwem hr. Junga de Blankenheim w bitwie pod Brdowem, następnie w oddziale Taczanowskiego pod Pyzdrami, a w końcu pod Ignacewem.

W r. 1871 rozpoczyna swą pracę zawodową na poczcie i spełnia gorliwie swoje obowiązki w charakterze urzędnika do czasu przeniesienia Go na emeryturę, co nastąpiło w kwietniu 1924 r.

Zmarły był człowiekiem niezwykłej dobroci serca i pogody ducha. Pociągnął serca wszystkich, którzy Go znali. Odznaczał się wielką miłością ku Bogu oraz szczególnem uwielbieniem Najśw. Marji Panny. Do każdej nowopowstającej zbożnej placówki w Kaliszu odnosił się nader życzliwie i ofiarnie. Miłego staruszka widziano codziennie słuchającego w wielkiem skupieniu mszy św. i przystępującego z budującą pobożnością do stołu Pańskiego. Nie zauważono w nim lęku w chwili rozstania się z tym światem, z uśmiechem towarzyszącym Jego pogodnej twarzy w dniu 6 maja b. r. zasnął w Panu na wieki.

Zarząd Kongreg. III Z. w Kaliszu.

POCHODNIA SERAFICKA
ORGAN III ZAKONU I STOW. FRANCISZK KRUCIATY MISYJNEJ

Rok XI. Wrzesień 1936 r. Nr. 9

Myśli na dziś...

(Z okazji Uroczystości M. B. Bolesnej).

Dzisiejszy człowiek cierpi. Mimo rozkwitu kultury, rozwoju techniki, wynalazków, mających uczynić życie wypoczynkiem, przyjemnością, na obliczu człowieka współczesnego wciąż widać zasępienie i smutek — ślady wewnętrznego bólu.

Życie ludzkie ulega ciągłej zmianie, ewolucji tylko pod jednym względem nie zmienił się świat. Ludzkość, jak dawniej, tak i dziś podlega cierpieniu. Niedomagania fizyczne, a bardziej jeszcze moralne trapią dzisiejszego człowieka, choć czyni się tak wiele, by życie na ziemi zamienić w raj.

Jedni, nasyceni bogactwem, życie piją pełnemi puharami. Ale rozkosz się kończy. Następuje przesyt, zniechęcenie, niezadowolenie, cierpienie moralne. Często w misternie obmyślane życie uderza grom! Niweczy ludzkie zamysły, druzgoce plany, zaciemnia marzenia, które się stać miały piękną rzeczywistością. Przyszła choroba, niepowodzenie w interesie, nienawiść ludzka... We wspaniałych pokojach, dotąd szczęśliwego człowieka, zamieszkało cierpienie, nieodłączny towarzysz, niemiły współlokator. Człowiek, który całe życie budował na ziemskich kapitałach, z chwilą bankructwa stracił wszystko! Zaczyna się wprawdzie nowe budowanie — ale na głębokim podkładzie nieufności i pesymizmu w własne poczynania.

Czy będzie coś z tego życia wytrąconego z równowagi, wykoszlawionego niepowodzeniem, zrujnowanego cierpieniem?

Są tacy, którym życie oszczędziło rozczarowań. Od początku, jak pamięć sięga było wciąż ciężko. Przeszła młodość w ciągłem borykaniu się. Chmurna. Nigdy nie uśmiechnął się szczęśliwy los. Nie padła wygrana na ich bytowania numer, ciągniony z urodzeniem. Wiatr wiał im ciągle w oczy. Wyrobili w sobie fizyczną prężność i energję, ale brak im radości z życia, tego, coby osłoneczniało szary dzień pracy i zmagania się, walki o chleb powszedni. Szaro jest w duszy „szarego człowieka“. Zmora cierpień ciąży nad tem życiem od kolebki — po grób.

Przytłoczony cierpieniem człowiek przestał być twórczym... bo jest dziś bezrobotnym...

Nasze stosunki społeczne nie sprzyjają zanikowi cierpienia, ale owszem, często te właśnie stosunki napełniają ludzi goryczą, pesymizmem, są powodem wielu cierpień i niepotrzebnych rozdrażnień, nieraz zagojonych już dawno ran...

Jest naszym świętym obowiązkiem usuwać cierpienie, wynikłe z warunków współżycia ludzkiego, ale pamiętać musimy, że cierpienia, tak ujemnie oddziaływującego na człowieka, z powierzchni ziemi znieść się nie da! Że cierpienie jest stare jak świat i trwać będzie, dopóki na ziemi będzie człowiek. Cierpienie jest życiową, powszechną koniecznością. Niema człowieka, któryby szczerze mógł powiedzieć, że nigdy nie cierpiał, że „nie zaznał goryczy na ziemi ni razu”.

Cierpią winni i niewinni, grzeszni i bezgrzeszni, sprawiedliwi i niesprawiedliwi.

Cierpiał Zbawiciel na Golgocie, bolała Matka Jego pod krzyżem stojąca, cierpiał Judasz zdrajca i łotr nawrócony.

Od każdego z mieszkańców ziemi żąda Bóg ofiary cierpienia, ofiary dobrowolnej lub wymuszonej — ale koniecznej. Trzeba tylko tę konieczność życiową chcieć i umieć wykorzystać. Zło, jakie łączy się z cierpieniem, nie wynika z samego cierpienia, z jego obecności na ziemi, ale z nieumiejętności naszej dostosowania się do tej konieczności życia, z mylnego nastawienia do cierpienia i krzyża.

Popatrzmy na Matkę Bolesną, na Jej ofiarę cierpienia i wmyślmy się w cierpienie własne.

„Stała pod krzyżem Matka Jego".

Tak! Wtedy na Kalwarji spełniła się największa mistyczna ofiara cierpienia. Boleść dochodząca do zenitu! Może służyć przykładem dla najbardziej skrzywdzonych przez życie... Odeszli wszyscy! Serce Syna bić przestało. Serce Matki drżało w bólu — ale stała Matka Boleściwa, Królowa Męczenników niezłamana, nieugięta, milcząca, a przecież pełna bólu po brzegi...

Co Jej dodaje siły, że nie rozpacza, nie zawodzi skarg, bulu swego językiem nie złagodzi, łzą nie ukoi?

Co Ją utrzymuje w nadludzkiej równowadze ducha?

To przekonanie, wiara: — „Bóg tak chce"! A Wola Boża jest święta! I spełnić ją trzeba bez szemrania, twardo! Przyjąć jak obowiązek!

To przekonanie postawiło Ją pod krzyżem...

Wie jeszcze Matka Bolesna, że cierpi z Chrystusem — Bogiem i ofiarę swą składa wraz z Synem — Zbawicielem na wykup świata. Ta idea zbawiającego współcierpienia uhartowniła Jej duszę tak, że stała się niezłomną, że pod ciosem bólu nie padła!

Serce Marji na Golgocie uczy nas cierpieć ze spokojem, z rezygnacją, z poddaniem się Woli Bożej. Nakazuje nam cierpienie swe ofiarować za drugich, przez co uczy nas braterstwa, które się rodzi z bólu własnej

duszy. Poleca nam współcierpieć z Jezusem-Zbawcą, co według św. Pawła ma wartość dopełniania skutków Męki Chrystusowej w nas.

Czyż nie zechcesz skorzystać z tej nauki, wygłoszonej pod Kalwaryjskim krzyżem? Jest ona aktualna dziś dla wszystkich!

I w znojnem życiu była lub — nadejdzie chwiia ofiary. Uciekną wszyscy, jak z Golgoty w godzinie konania Zbawcy. Zostawią ciebie na posterunku, na twojej kalwarji z własnym krzyżem, z własną raną w sercu, z własnem cierpieniem... A może to być dziś lub jutro!

W tej chwili nie wolno ci zapomnieć, że był przed tobą ktoś, kto cię nauczył cierpieć ofiarnie i ból znosić samotnie przed Bogiem, kto cię natchnął wielką myślą współcierpienia i odkrył tajemnicę ludzkiego życia.

Człowiek nie lubi „stać pod krzyżem“, a przecież to tak głęboko życiowe, tak nieodłączne od życia i tak pożyteczne!

Czasem wyobrażam sobie olbrzymi krzyż, sięgający ponad chmury. W cieniu tego krzyża przewala się kłębowisko ludzkie. Wszyscy naznaczeni krzyżem — znakiem cierpienia. Miljony ludzkich istnień szamocą się. Miljony pragną uciec z pod magnetycznego krzyża-olbrzyma. Bezskuteczny trud! Bo krzyż ciągnie ku sobie wszystkich niezwyciężalną siłą. Mało jest takich, którzy „stoją pod krzyżem“ spokojni, zapatrzeni w nadziemski znak. Tych „stojących” jakaś nadziemska moc odrywa od kłębowiska, od ziemi — do nieba, do Boga!

To symboliczny obraz dzisiejszego życia. Krzyż-olbrzym obdarzony magnetyczną siłą, to symbol cierpienia. Kłębowisko — to ludzkość. Człowiek dzisiejszy nie zna wartości cierpienia. Chce się wyzwolić od niego przemocą, ale dokonać tego nie potrafi. Są jednak ludzie zwani powszechnie świętymi — którzy cierpienie

przyjmują ze spokojem, z poddaniem się Woli Bożej, a wtedy cierpienie ich wyzwala... Staje się mocą, która zbliża do Boga i uszczęśliwia!

To jest życiowa tajemnica dusz świętych, tajemnica cierpienia — nie wykryta przez uczonych...

Znała tę tajemnicę Matka Bolesna. Ale my nie znamy tej tajemnicy. Dlatego taka ogromna różnica między naszem cierpieniem, a cierpieniem Matki Najświętszej.

Ona cierpiała najściślej zjednoczona z Bogiem. My w chwilach bólu często zapominamy o Bogu, a nieraz rodzi się w nas wtedy bunt i złorzeczenie.

Jej cierpienie jest zbawczem dla świata, nasze nas samych potępia.

Jej — kończy się chwałą, nasze przemija bez zasługi.

Ją uświęca, nas odziera z resztek cnoty.

Jeden i ten sam ból, a tak różne ma następstwa w duszach. Jednym daje szczęście, drugim zatratę. Jednych bogaci, drugich ubogimi czyni. Jednych uszlachetnia, drugich przemienia w buntowników. Jednych zbawia, drugich spycha na dno piekła!

Patrz uważnie w Oblicze Matki Bolesnej i przyjmuj cierpienie tak, jak Ona je przyjmuje.

Nie naśladuj tych, którzy w szale wygrażają Bogu, którzy nie chcą cierpieć na ziemi.

Cała tajemnica szczęścia leży w umiejętnem znoszeniu życiowego cierpienia. Uczmy się tego od stojącej pod krzyżem Matki Bolesnej. *B. W.*

Marja Teresa, królowa francuska,

Tercjarka zakonu Serafickiego.

Z końcem XVII wieku liczono we Francji przeszło 1000 kongregacyj tercjarskich. Głównem ogniskiem III Za-

konu była kaplica pod wezwaniem św. Ludwika i św. Elżbiety, fundowana w kościele Braci Mniejszych w Paryżu, przez cnotliwą monarchinię Marję Teresę, gwiazdę i chlubę tercjarstwa.

Marja Teresa, córka Filipa IV króla Hiszpanji i Elżbiety francuskiej, od najmłodszych lat ćwiczyła się w cnotach pod kierunkiem Braci Mniejszych, a O. Andrzej, komisarz generalny Indji, nauczył młodą księżniczkę, jak można żyć wśród świata i nie kierować się jego duchem, a wśród przepychów królewskich praktykować pokorę i żyć w ścisłem zjednoczeniu z Bogiem.

W 22 roku życia została małżonką Ludwika XIV, króla Francji i wkrótce niezwykłą dobrocią zjednała sobie serca wszystkich poddanych.

W 4 miesiącu po ślubie wstąpiła do III Zakonu i odtąd nieraz powtarzała, że wyżej sobie ceni zaszczyt przynależności do tercjarstwa, niż królewską koronę.

Pomimo licznych obowiązkowych zajęć i długich godzin poświęconych modlitwie, umiała tak czas rozłożyć, że mogła codziennie odwiedzać chorych, haftować szaty kościelne, spełniać różne uczynki miłosierne i czytać budujące książki. Z chętną pomocą i z sercem pełnem współczucia zniżała się do każdej nędzy. Nie zadowoliła się założeniem kilku szpitali, ale osobiście chorych odwiedzała, karmiła, pocieszała, oddawała im najniższe usługi i czuwała nad tem, by kapelan szpitalny był przy każdym umierającym.

Często przedstawiano królowej, że poświęcając się tak dla chorych, szkodzi swemu zdrowiu. „Nie mogę lepiej użyć zdrowia, jak oddając je na usługi Jezusa Chrystusa, cierpiącego w Swych członkach“ odpowiadała szlachetna monarchini.

Gdy Marja Teresa udawała się do kościoła, tłumy ciekawych biegły za nią, by podziwiać jej skupienie w czasie nabożeństwa.

Raz podczas Mszy św. — przez nieuwagę — wywrócono wazon z kwiatami, a woda spłynęła na szaty królowej. Otoczenie jej było bardzo poruszone tym wypadkiem, krzątano się energicznie, mówiono głośno, biegano, ścierano wodę, a skupiona monarchini ani na moment nie przerwała gorącej modlitwy.

W podróżach, gdzie tylko zatrzymano się, kiero-

wała pierwsze kroki do świątyni Pańskiej. Raz w pobliżu Strassburga, w małej mieścinie zamieszkałej przez protestantów nie znalazła królowa — tercjarka kościoła. Zasmucona padła na kolana w pokoju przed obrazem Matki Najświętszej i modliła się gorąco o nawrócenie heretyków. Za chwilę wszedł król i oznajmił uszczęśliwionej małżonce, że już wydał rozporządzenie, by w tem miasteczku wybudowano kościół i by sprowadzono kapłanów do jego obsługi.

W cierpieniach i krzyżach różnego rodzaju, których Pan Bóg nie szczędził tej wybranej duszy, krzepiła ducha modlitwą i częstem przystępowaniem do Stołu Pańskiego.

W krótkim przeciągu czasu zabrał jej P. Bóg czworo dzieci, ukochanego ojca i niezwykle dobrą macochę, która miała dla niej zawsze serce najczulszej matki.

Jeszcze nie przebolała tych strat, gdy nowy cios ugodził jej znękaną duszę.

Ludwik XIV, który początkowo najserdeczniejszą miłość okazywał swej małżonce i jej modlitwom przypisywał świetne zwycięstwa, jakie odnosił — zobojętniał nagle dla niej, unikał nawet spotkania się z nią, a natomiast wielkiem zaufaniem i szczególną przyjaźnią darzył niektóre damy dworskie.

Marja Teresa bolała nad tem niezmiernie; nie chodziło jej o własną osobę, ale lękała się obrazy Bożej.

Z cierpieniem swem nie zwierzała się nikomu, tylko godzinami klęczała przed Przenajświętszym Sakramentem, błagając Pana Jezusa, by jej małżonek — namiętnością zaślepiony — nie zboczył z drogi cnoty.

Czuwała bardzo nad sobą, by ani cienia zazdrości nie dopuścić do zbolałego serca i nietylko była, jak zwykle, uprzedzająco dobrą dla męża, ale udając, że nic nie spostrzega, okazywała nawet uprzejmość i szczerą życzliwość tym paniom, które były powodem strasznej udręki jej duszy.

Gorzkie łzy, gorące modły i heroiczne cnoty świątobliwej tercjarki, zostały wreszcie niespodzianą pociechą nagrodzone. Ludwik XIV spostrzegł niebezpieczny nietakt swego postępowania i odtąd jeszcze wyżej cenił Marję Teresę, podając ją za wzór najszlachetniejszej i najlepszej małżonki.

Marja Teresa nie tylko była najlepszą królową i wzorową żoną, ale nadto bardzo gorliwą tercjarką. Wszystko, do czego obowiązywała reguła III Zakonu, zachowywała wiernie, a każdą tercjarkę, choćby była najniższego stanu, nazywała siostrą. Toteż, gdy następowała zmiana w zarządzie, obrano ją jednogłośnie przełożoną. Wybór ten chętnie przyjęła i spełniała gorliwie podjęte obowiązki aż do śmierci, która dość wcześnie, bo w 45 roku życia, zabrała ją z tego świata.

Śmierć świątobliwej królowej i wzorowej tercjarki okryła żałobą całą Francję, a szczególnie III Zakon Seraficki*). *Esha.*

Trzy drogi doskonałości.

Droga oczyszczająca.

Dusza wraca z pola walki, gdzie potykała się z miłością własną. Wraca zmęczona, poraniona i — troszeczkę zniechęcona, smutna. Nie dziwmy się. Wszak walczyła z wrogiem, co legnie tysiącem śmierci, by ożyć nanowo i trzeba się wciąż potykać. Oj tak! Dopóki człowiek żyw, żyje w nim własne „ja" i walczyć z niem musi. Znieruchomieje ono na wieki dopiero kwadrans po naszym zgonie, powiedział wielki bojownik i zwycięzca — św. Franciszek Salezy.

A patrzmy na wracającą z boju Duszę.

Patrzmy!

Jej uduchownienie staje się coraz bardziej widocznem, coraz głębiej zapada się w sobie, bo walka goni ją naprzód i naprzód w głąb! Świat zewnętrzny znika daleko poza nią, rozpierzchają się jego złudy — Dusza samotna idzie wdal.

Idzie...

A przepaść nędzy u jej nóg, coraz szerzej i szerzej swą paszczę rozwiera — nie widać dna. Ale dusza idzie. Nie łudzi się, innych nie szuka dróg. Przez tę otchłań poznania siebie przejść musi, bo inna droga nie wiedzie ku światłu, ku szczytom zjednoczenia z Bogiem.

*) Annales franciscaines — Septembre 1908.

A obawa usiadła znów przy drodze i zawodzi żałośnie:

— Hej, ty! nie chodź! Tam ciemność, tam wrogi, tam bój! Nie chodź! nie chodź — wróć!

Obejrzała się z trwogą dusza — zawahała — ale wnet zobaczyła krzyż i cichy a ponętny usłyszała głos:

— Pójdź za mną!

— Kto jesteś Panie

— Jam jest Droga, Prawda i Żywot.

— Panie! Ja Ciebie miłuję miłowaniem wielkiem, weź mię, poprowadź!

Obejrzała się...

— Gdzie jesteś Panie? Ciemno tu, głucho — nie widzę Cię.

— Gdy przejdziesz otchłań, gdy opuścisz krainę swych nędz, grzechów i wad — gdy wyjdziesz ku światłu i wstąpisz na szczyt — zoczysz mię. Idź!



Poszła...

Patrzmy za nią.

Nie idzie już sama. Przewodnik — rozmyślanie przy niej tuż. Idą razem. Tam oto — kilka kroków wdal — przyczaił się wróg.

— Kto to?

— Pycha. Tak, pycha! Ona okrutna córa miłości własnej. Złowroga matuś ją nasłała:

Idź i walcz! Powstrzymaj loty tej, co pędzi wzwyż. — Masz siłę ku temu, nikt lepiej od ciebie wojować i pustoszyć nie umie. Idź — a dobrze się spraw! Życie wewnętrzne obal, cnotę zniszcz! Idź!

Nie dała się prosić — poszła. Usiadła nade drogą życia, zastawiła sieci, przyczaiła się i czeka...

Dusza i Rozmyślanie stanęli. Nie zdjął ich strach, jeno pogwarzyć chcą, naradzić się z Bogiem, odpocząć i do walki nabrać sił.

Gadają...

Przybliżmy się, słuchajmy.

— Pychę zrodziła miłość własna. Jest to pierworodna jej córa, ale nie jedynaczka. Dalsze potomstwo poznasz później. Dziecko to podobne jest zupełnie do matki, tylko bardziej zjadliwe, złowrogie i chytre.

Patrz! Widok okropny, ale spojrzenie nań konieczne. Idąc drogą oczyszczającą trudno wyminąć się z pychą, aby jej nie poznać, nie zmierzyć się z nią.

— Jak wygląda pycha, albo lepiej — dusza pyszna?

— Słuchaj!

Cechuje ją przedewszystkiem *podziw dla samej siebie*, Podoba jej się wszystko, co czyni, mówi i myśli. Sobie przypisuje wszystko: „Ja to zrobiłam, ja pierwsza taki miałam pomysł, ja tę myśl innym poddałam. Gdyby nie ja..“

Mama — miłość własna nauczyła córkę-pychę mówić zawsze i wszędzie „ja“. Ani Pan Bóg, ani bliźni, tylko ja.

Gdy to słówko zbyt często z ust twoich wychodzi, uważaj pilnie i badaj, czy nie jest podyktowane przez pychę?

Drugą cechą duszy pysznej jest ogromna *wrażliwość, przeczulenie.* Zbliż się do niej choćby z daleka, tknij ją koniuszkiem palca czy języka, odmów uznania, zaufania, okaż jej najmniejsze niezadowolenie, zaprzecz wdzięków, zdolności, jakich rzeczywiście nie posiada, a oburzy się strasznie na ciebie, pogniewa się, obrazi, zadąsa, umilknie, albo złorzeczyć ci będzie, jeśli nie głośno, to pocichu napewno. Tak, pycha to ma do siebie, że tknąć się nie da.

Patrz jeszcze.

Dusza pyszna odznacza się *gorączkową chęcią krytykowania.* Postaw przed nią osobę najświętszą, rzecz najlepiej wykonaną — skrytykuje, zgani, znajdzie dziurę na całem, plamę na czystem, na białe powie, że czarne. Jej towarzystwo najmilsze z tymi, co słuchają i krytykować pomagają.

Cechuje ją także *duch niezależności.* Przemocą wyłamuje się z pod władzy Boga i jego przedstawicieli. Jest skłonna do buntu. Ten bunt upozorowany często w piękne intencje, ideały, ale przez to nie przestaje być buntem. Lucyferowe „Nie będę służył" wychodzi wcześniej czy później.

Pycha najczęściej zdradza się nieposłuszeństwem. Posłuszeństwo jest tak wielką cnotą, że tylko pokorny na nią się zdobędzie, pyszny nigdy. Zbuntuje się, odmówi, a gdzie władza za silna, by ją mógł złamać, tam posłucha, ale chwilowo i na to tylko, by w dogodnej chwili gorzej wybuchnąć i zbuntować się.

Pokora i posłuszeństwo — to dwie siostrzyce, co zawsze razem chadzają; pycha i bunt — to dwaj wichrzyciele, co mącą pokój świata.

Jeszcze jedna cecha duszy pysznej — *skłonność do przesady.* Kłamać nie kłamie, może czasem tylko, ale zupełnej prawdy prawie nigdy nie powie. Zło pomniejszy, aby nie przedstawić się najgorzej, dobro powiększy, by pokazać się lepiej niż jest w rzeczywistości. Swoje zalety, przymioty lubi powiększać, upiększać — przypisuje sobie nawet to, czego wcale nie posiada. Niekiedy wynosi się ponad innych, a czasem — czasem to i pogardza drugimi. Odgrywa wtedy rolę faryzeusza i deklamuje z zadowoleniem:

— Dzięki Ci, Panie Boże, iż nie jestem jako inni. Ani tak zła, ani tak zepsuta, ani tak głupia, ani tak

podła. Brr!... Nie mogę patrzeć na postępowanie tych i tamtych. Coś strasznego!... Jak mogą...

— Dzięki Ci, Panie Boże!... Pracuję nad sobą, uważam na siebie, staram się, więc — nie jestem jako ci, jestem lepszą.

— Oj! Oj! „Ty co stoisz, bacz, abyś nie upadł"! Upomina cię św. Paweł.

Ale pyszny nie lęka się upadku, choć ten grozi mu na każdym kroku.

Tych cech duszy pysznej możnaby więcej wyprowadzić na światło dzienne, ale zostawimy je narazie w ukryciu — przy sposobności wyjdą one na jaw same.

Dusza zerwała się z miejsca, chce iść naprzeciwko wroga, by stoczyć z nim bój.

— Jeszcze nie, zaczekaj, posłuchaj!

— Stanęła — słucha.

— Pycha jest grzechem głównym, a więc ciężkim. Pewnie, gdy nie dochodzi do wielkich rozmiarów, takim go nazwać nie można, ale zawsze jest to grzech, niedoskonałość, skaza w obliczu Boga.

Grzech pychy, jak każdy, gnieździ się w myślach, słowach i czynach.

W myślach — gdy wielkie o sobie masz wyobrażenie, gdy delektujesz się tem, co dobrego u siebie widzisz, lub co inni na twoją pochwałę wypowiedzieli. Prawda? przyznaj się, że czasem pod wpływem tych wielkich o sobie myśli, pochwał ludzkich, jesteś jakby odurzony, nieprzytomny. Zdarza się, że i zasnąć nie możesz, bo cudne marzenia o sobie samym wprawiają cię niby w zachwyt i unoszą daleko, daleko poza rzeczywistość.

Ej! ej! Nie szkoda na to czasu? Zbudź się! Wstań! Padnij w proch przed Panem, boś nicość i grzech!

A co się dzieje w twej dumnej głowie, gdy cię ktoś zadraśnie? Znów zapamiętanie, bezsenność — marzysz o odwecie, o zemście...

„Nie pozwól pysze nigdy panować w myślach swoich, albowiem od niej bierze początek wszelka nieprawość“ (Tob. 4).

W słowach grzeszysz pychą, gdy się wychwalasz, gdy mówisz dużo o sobie, gdy opowiadasz po niezliczone razy o swoich czynach dokonanych w przeszłości, gdy aż tak daleko posuwasz twoją zarozumiałość, że stawiasz siebie drugim za wzór, za ideał do naśladowania, gdy ani wspomnisz o tem, że to Bóg, łaska Boża dokonała w tobie tak wielkich czynów, ale powiadasz: to ja!

„I cóż masz, czegobyś nie wziął? a jeśliś wziął, czemuż się chlubisz, jakobyś nie wziął?“ (1. Cor. 4).

„Kto się wywyższa, będzie poniżon“. (Mat. 28).

W czynach — gdy porywasz się na dobre, zbożne dzieła, ale nie dla Boga, jeno ot, dla próżnej chwały, dla poklasku ludzkiego. Boć zdarza się czasem, że targasz siły, zdrowie, nerwy, poświęcasz się na wszystkie strony, a u schyłku dnia czy życia czujesz, że duszę masz pustą, że w dziurawy mieszek wkładałeś skarby swoje, że skarbiłeś sobie to, co mól gryzie i złodzieje kradną. Czy nie tak? Cóż ci zostało? Dym twych kadzideł rozpełzł się po ziemi, a do nieba na wieczność nie uleciało może nic...

Jak niemądrze ludziom robić wystawę z swoich pięknych czynów — chwalić się lub oczekiwać na pochwały! Czemże ci ludzie zapłacić mogą? Chyba niezrozumieniem, goryczą.

— Czy to już wszystko?

— Jeszcze nie, zaczekaj! Słuchaj! Zapamiętaj!

Pycha — to wróg największy tych, co dążą wzwyż. Z zaświata woła ich głos — na drogę wielką, mistycz-

ną, niezrozumiałą. Za tem wołaniem chcą iść i idą. Ale skoro zbratają się z pychą — przepadło! Głowa im się zakręci — runą!

— Dlaczego?

— Bo pysznym Bóg się sprzeciwia, a tylko pokornym łaskę daje. A cóż możesz bez łaski i pomocy Bożej?

Gdy więc pycha tobą władnie — nie idź, wróć! Zejdź z urojonych szczytów, ku dolinie zejdź i wpierw upokórz się, oczyść z własnego „ja", a potem dopiero chwyć się Boskiej prawicy i rozpoczynaj drogę nanowo.

Precz z pychą! Precz!
Do walki z nią!
Naprzód! Odważnie!

Zerwała się dusza, ogień zdjął ją okrutny — biegnie...

— O święta pokoro, pójdź ze mną, pójdź! Walczyć chcę z wrogiem, zgnieść go, podeptać i ulecieć wdal!

Nie! nie! Pycha mną władać więcej nie będzie!
I cóżem ja? Glina, proch, nicość, grzech!
Pokoro święta ze mną pójdź!
Ty łasko Boża ze mną bądź!
Poszła...

— — — — — — — — — — — — —

Cesia N. kochane to było dziewczątko. Pracowała, poświęcała się dla naszej Kongregacji — była nam na każde zawołanie. Miałyśmy anioła przez kilka lat. Żadne zebranie, żadne przedstawienie, żadna akademja nie obeszły się bez Cesi. Grała prześlicznie role, a zawsze najpiękniejsze, deklamowała — bez niej ani w lewo, ani w prawo.

Ale niestety już Czesi nie mamy!

— Dlaczego? Umarła? Wyjechała?

— Ani jedno, ani drugie. Ale słuchajcie. Było raz tak. Nową miałyśmy odgrywać sztuczkę i piękną, więc radość była ogromna. Przybiegła Cesia.

— Jaką chcesz rolę? pytamy.

— Zdolności mam do wszystkiego, więc mogę grać którąkolwiek. Wszystko potrafię i nic mi nie sprawia trudności.

— O jak to dobrze! Nikt nie chce roli szewca, więc ty ją Cesiu odegrasz. Ale ładnie, pamiętaj!

Poczerwieniała, zmarszczyła czoło.

— Co? ja mam grać szewca? Czy mało takich, co tę rolę odegrać potrafią? O nie! Nigdy! Szewcem nie będę! Dziękuję za łaskę.

Obrażona, zadąsana zabrała się Cesia i poszła.

— A czy wróciła?

— Już nie. Zabrakło jej pokory. Szkoda! Tak ją kochałyśmy.

Tak to pycha wszędzie szkodzi, burzy, rujnuje.

S. Gł.

Dlaczego tak mało pożytku z tylu spowiedzi?

Niedawno wpadło mi do ręki francuskie tłumaczenie książki O. Fabera p. t. Konferencje duchowne.

Znakomity ten pisarz ascetyczny ma szczgólny dar ujmowania zagadnień życia wewnętrznego z ich strony praktycznej. Niezrównany obserwator, podstrzegacz i znawca natury ludzkiej chwyta wprost na gorąco najdrobniejsze przejawy naszego życia religijnego, poddaje je wnikliwej analizie i dochodzi do wniosków, mających ogromne znaczenie praktyczne. — Wielka szkoda, że ta doskonała książka nie została przyswojona w całości naszemu językowi — tylko pierwszą z tych konferencji wydano niedawno po polsku p. t. „Dobroć“; a szkoda! bo O. Faber porusza tematy wielkiej wagi dla życia pobożnego.

Tutaj pragnę się podzielić z naszymi czytelnikami treścią jednej z konferencji na temat ogromnie aktualny, mianowicie: „Dlaczego tak mało pożytku z tylu spowiedzi?“.

Przystępując do tematu autor stawia tezę bardzo ważną dla życia duchownego, mianowicie: Świętość zależy nietyle od tego, *co robimy*, ile od tego, *jak robimy*.

Stąd też święci w miarę postępu w doskonałości, nie pomnażali, ale raczej ograniczali i upraszczali swoje ćwiczenia duchowne, aby je tem lepiej wykonać. Klasycznym przykładem tego, jest nasz św. O. Franciszek, który spędzał noce na modlitwie, powtarzając to jedno zdanie „Ktoś Ty jest, Boże, a kto ja?!“ lub też „Bóg mój i wszystko!“.

My natomiast, według dosadnego wyrażenia O. Fabera „połykamy łaski Boże, nie rozgryzając ich... nie kosztując ani połowy tych pożywnych i leczniczych pierwiastków, jakie dobroć Boża tam złożyła“. Jedna dobra spowiedź niesie z sobą tyle łaski Bożej, że starczyłoby jej nadobficie na doprowadzenie duszy do świętości.

Cóż bowiem jest spowiedź św.? — Spowiedź św. jest to czynność porządku nadprzyrodzonego, w której Bóg i człowiek mają swój współudział.

Ze strony człowieka jest to najpierw akt wiary i uwielbienia dla Boga: grzesznik zrywa ze złem, a zwraca się ku Bogu — z głęboką wiarą uznaje w spowiedniku, podległym jak i on grzechowi, zastępcę Boga, wyznaje przed nim swoje najtajniejsze, najbardziej zawstydzające grzechy i słabości — słucha z pokorą jego napomnień, przyjmuje bez sprzeciwu nałożoną karę, a to wszystko z najżywszą boleścią i żalem za popełnione winy i ze zdecydowaną wolą poprawy..

Gdy człowiek wspomagany łaską wykona, co do niego należy, Bóg rozpoczyna swoje wyłączne działanie.

W chwili rozgrzeszenia kapłańskiego Krew Przenajdroższa Jezusa Chrystusa obmywa duszę grzesznika, łaska poświęcająca przenika ją, dając jej tajemnicze uczestnictwo w naturze Boskiej. Następuje taka zmiana, jak gdyby szatan przemienił się w anioła. Całe niebo się nachyla, a Aniołowie Boży weselą się nad jednym grzesznikiem, pokutę czyniącym.

Jeżeli tak wielkie są skutki *jednej* dobrej spowiedzi, czegóż należałoby się spodziewać po dziesiątkach i setkach!

Jaki bezmiar łask został przelany w nasze dusze, a co za tem idzie, jakie szczyty świętości winniśmy już byli osiągnąć!

A jednak... jakież są skutki naszych tak licznych, może już tysiącznych spowiedzi?! Czy zmiany zaszłe w naszej duszy są namacalne? Może życie nasze stoi na tym samym poziomie, co przed 10—20 laty — może nawet na niższym.

Co jest przyczyną, że ten wielki Sakrament okazuje się w nas bezowocnym? Wszak przygotowujemy się do niego sumiennie i uczciwie — nie mamy sobie nic w tym względzie do wyrzucenia.

Czegóż więc brakuje naszym spowiedziom?

— Brakuje dobrej, prostej, ku Bogu jedynie skierowanej intencji. *Intencja jest duszą naszych uczynków* — ona ma decydujący wpływ w naszem życiu wewnętrznem. Zbadajmy więc, jakie pobudki przeważają w nas, gdy idziemy się spowiadać — nie są one może złe same w sobie, ale złą jest ich dominująca rola w naszej intencji.

A więc czasem idziemy się spowiadać nie dlatego, żeśmy zgrzeszyli, ale ponieważ czujemy się smutni i zniechęceni — szukamy ulgi i pociechy, a mamy nadzieję otrzymać ten duchowny przysmaczek od naszego spowiednika.

To znowu ciąży nam samotność — Bóg nam nie wystarcza — idziemy więc wywnętrzać się w konfesjonale; spowiednik dobry, wyrozumiały obdarzy nas słowami współczucia, może jaką dyskretną, uboczną pochwałą.

Niekiedy mamy takie ogólne poczucie, że nasz stosunek z Bogiem nie jest całkiem dobry — wprawdzie sumienie nam nie wyrzuca jakiegoś określonego grzechu — ale czujemy podświadomie, że Bóg od nas żąda większej gorliwości, więcej zaparcia się i umartwienia, że nie jest z nas zadowolony — otóż my zamiast mężnie jąć się pracy nad sobą, idziemy się spowiadać, aby choć na krótko pozbyć się tego niemiłego uczucia.

Niektórym znów ogromnie chodzi o to, jakie zdanie ma o nich spowiednik. Z tego i owego wnioskują, że sądzi o nich niecałkiem słusznie, a więc przy spowiedziach usiłują dyplomatycznie ten jego sąd naprostować — nie z miłości własnej ach! Broń Boże! wcale nie pragną, aby ich uważał za lepszych niż są, ale żeby miał sąd prawdziwy. Stosownie do tych zamiarów stylizują swoje oskarżenia się w konfesjonale, nie spostrzegając, że ogromnie trudno być jednocześnie dyplomatą i pokutującym grzesznikiem.

Zdarza się też, że przystępujemy do Sakramentu Pokuty bez żadnego nakazu wewnętrznego, bez żadnego pragnienia przeproszenia Boga, oczyszczenia się ze swych nieprawości. Przyszedł dzień spowiedzi — to się spowiadam i basta! Taka spowiedź równa się żadnej.

Są i tacy, którzy traktują spowiedź jako część przygotowania do Komunji św. Skutki tego, nieświadomego może, zlekceważenia Sakramentu Pokuty są o wiele smutniejsze, niżby się mogło zdawać. Prawdziwie jest to „połknięcie łaski Bożej, bez jej zakosztowania“. Stąd niedość przejmujemy się poczuciem naszej niegodności, zbyt łatwo zapominamy o naszem stanowisku stworze-

nia i to grzesznego stworzenia, za mało skruchy, za mało pokory — stąd zbytnia poufałość w stosunku do Boga.

Wreszcie wielu jest takich, którzy szukają w spowiedzi przedewszystkiem kierownictwa duchownego. Posługują się tym Sakramentem jako okazją do sprawy dobrej samej w sobie i pożytecznej, ale podrzędnej. W takich wypadkach zazwyczaj pragnienie rozgrzeszenia, żal, postanowienie poprawy zajmują bardzo mało miejsca w ich świadomości, natomiast na pierwszy plan wysuwają się sprawy, będące w bardzo luźnym związku z Sakramentem Pokuty.

Możnaby jeszcze mnożyć przykłady niewłaściwego ustosunkowania się do tego wielkiego Sakramentu, gdyż miłość własna przybiera tysiączne postacie, a gdziekolwiek się wciśnie, psuje i osłabia działanie Boże.

Jakaż więc powinna być nasza intencja, jaki wzgląd ma nas skłaniać do Spowiedzi św.?

Oto wzgląd na nieskończoną świętość Boga i naszą własną niegodność. Zgrzeszyłem — obraziłem mego Najwyższego Pana, zasmuciłem Najlepszego Ojca — więc chcę Go przeprosić, chcę we Krwi Chrystusowej obmyć nieprawość moją, chcę mojem uniżeniem i pokutą zadośćuczynić za zniewagę, wyrządzoną Świętości i Majestatowi Bożemu.

Zrewidujmy więc aż do najgłębszych zakamarków serce nasze, w jakim duchu zbliżamy się co tydzień do konfesjonału — i starajmy się wykonać tę świętą sprawę z całą możliwą doskonałością i czystością intencji, a błogie owoce tego nie każą długo na siebie czekać.

E. L.

Gawędy Ojca Kapistrana

Cnota dla reklamy.

Choć bez zapału przyznać to muszę,
Czem Trzeci Zakon szczycić się może,
Że ma w swem gronie przedziwne dusze
Święte, pobożne w wielkim wyborze.
Ma kaznodziejskich niewiast tłum mnogi,
I wielu mężów ma dobroczynnych
I całą rzeszę panien niewinnych
I pokutników, ma i ubogich.
Skąd się tak liczni święci tam wzięli?
Mówią po kątach ludzie złośliwi,
Że są tam święci, lecz nieprawdziwi,
Tacy od święta i od niedzieli —
Że ta dzieweczka, która na sumie
Zda się anielsko być świątobliwa
W domu każdemu dokuczyć umie
Już nie jak anioł, lecz jak pokrzywa;
Że ta niewiasta co na zebraniu
Ma niebo w oczach, miód pod językiem,
Piekiełko „robi" w swojem mieszkaniu,
Zgodzić się pono nie może z nikim;
Że ten mąż zacny i dobroczynny.
Z sercem na nędzę bliźnich wylanem,
W domu dla dzieci jest całkiem inny,
Że jest nie ojcem, ale tyranem.
Zbadać, co prawdy jest w tych pogłoskach,
Nie mogę mimo najszczerszej chęci,
Ale niech ręka broni nas Boska,
By wśród nas mieli być tacy święci.
Spytajmy siebie, czy cnotę mamy
Także na codzień w życiu domowem,
Czy też pełnimy ją dla reklamy
I to nietyle czynem, co słowem.

Ja sam widziałem przykłady różne:
Był sobie tercjarz, arcywzór cnoty,
Modlił się, pościł, dawał jałmużnę —
Tylko nad głową krążek mu złoty
Zrobić — a byłby święty jak żywy,
Lecz czy prawdziwy, czy nie prawdziwy,
Osądźcie sami!

W pewnej okazji
Coś na zebraniu mówić zaczęto
O Misjonarzach w Afryce, w Azji —
Ów brat przezacny z hojnością świętą
Dobywszy dziesięć złotych z portfelu,
Wzywał gorliwie, by zgromadzeni
Dla tak świętego, wzniosłego celu
Nie zacieśniali serc i kieszeni.
Na taki przykład ten i ów z braci
Wysupłał jakąś skromną ofiarę:
Kto Bogu daje ten nic nie traci,
Odda mu Pan Bóg podwójną miarę.
Nasz brat poczciwy wracał do domu,
Z błogim uczuciem spełnionej cnoty,
Choć w głębi serca, tak pokryjomu
Żałował troszkę dziesięciu złotych.
Może się jakoś da wynagrodzić
Ten nazbyt hojny datek dzisiejszy.
Naprzykład, stary nasz stróż w ogrodzie:
Można mu trochę pensję umniejszyć.
Tak! od pierwszego zaraz to zrobię,
Te dziesięć złotych ujmę mu z płacy,
A jak nie zechce — niech idzie sobie!
Małoż to ludzi szuka dziś pracy.
I rad, że mimo wielkiej hojności
Na swym majątku nie dozna szkody,
Myślał, jakby znów przy sposobności
Wytrawnej cnoty dawać dowody.

S. L.

Matka prymicjanta.

Opowiadanie osnute na tle prawdziwego zdarzenia.

Gorliwa czcicielka św. Franciszka z Assyżu, Katarzyna S. za największy zaszczyt poczytywała sobie należenie do III Zakonu a wierne zachowywanie przyrzeczeń, uczynionych w dzień profesji św., za najpierwszy obowiązek. Nie ograniczała się do pilnego uczestnictwa w każdem zebraniu tercjarskiem i do odmawiania przepisanych pacierzy — ale przedewszystkiem ćwiczyła się w cnotach regułą zaleconych: w miłości Boga i bliźniego, w pokorze, cierpliwości i zaparciu się siebie.

Wszyscy ją też szanowali i niejedna osoba, obcując z nią bliżej, pozbyła się niesłusznych uprzedzeń do tercjarstwa.

Katarzyna S. była też główną inicjatorką budowy domu, w którym podeszłe wiekiem, dotknięte kalectwem lub nieuleczalną chorobą tercjarki mogłyby znaleźć schronienie i opiekę. Po śmierci męża, który jej tylko mały zostawił kapitalik, głównie szyciem zarabiała na utrzymanie. Odmawiała sobie nietylko wszelkich przyjemności, ale często i koniecznych rzeczy, by tylko zarobione pieniądze starczyły na kształcenie jedynego syna Jasia, który właśnie zaczął uczęszczać do gimnazjum.

Niezwykły to był chłopczyk ten Jaś ukochany. Cichy, potulny, na każde skinienie matki posłuszny — a taki pilny i pracowity, że go profesorowie wszystkim za wzór stawiali. Niepospolite też miał zdolności do nauk a najbardziej rozmiłował się w łacinie, czego koledzy — uważając ten przedmiot za najtrudniejszy — pojąć nie mogli. Dawno też umiał ministranturę, a gdy służył do Mszy św., to z taką pobożnością spełniał ten święty obowiązek, że obecnym w kościele, przypominał anioła.

Widocznie na gorące modły poczciwej matki P. Bóg chłopczynie łask Swych nie szczędził a i św. O. Franciszek pewno w niebie za Jasiem orędował, bo go o to codziennie gorliwa tercjarka błagała.

Było to 4. października, w niedzielę. W kościele franciszkańskim właśnie skończyły się solenne nieszpory a ludzie, pokrzepieni na duchu gorącemi słowami kaznodziei, w poważnem zamyśleniu wracali do domów.

Wracała też po nabożeństwie i Katarzyna S. z Jasiem. Jaś zwykle rozmowny, dziś dziwnie był milczący i zamyślony. Nagle, jakby budząc się z zadumy, podniósł na matkę wielkie, niewinne oczy i zapytał: — „Proszę mamy, dlaczego św. Franciszek nie przyjął święceń kapłańskich, tylko pozostał dyakonem?“

— „Z pokory, moje dziecko, z pokory — widzisz Jasieńku — św. Franciszek był bardzo wielki Święty a uważał się za nędznego grzesznika i czuł się niegodnym piastować P. Jezusa w swych rękach“.

— „Taak” — powiedział zdziwiony Jaś i zasmucił się głęboko.

— „O cóż ci chodzi syneczku?“

— „Proszę mamy, bo ja nie wiem, jak to jedno z drugiem pogodzić: chciałbym być bardzo pokornym, ale też gorąco pragnę być kapłanem.?

Zadrżało z radości serce matczyne... ona tyle lat błagała P. Boga o powołanie kapłańskie dla swego jedynaka i P. Bóg wejrzał na nią miłosiernie.

— „O tak! mówił dalej Jaś z wielkiem ożywieniem, pragnę gorąco być księdzem i mam nadzieję, że przy łasce Bożej nim zostanę. A gdy już otrzymam święcenia kapłańskie, gdy w czasie Mszy św. Pana Jezusa sprowadzę na ołtarz, to będę Go prosił o tyle, o tyle łask... Poproszę Pana Jezusa, by tak jak za życia ziemskiego: ślepym wzrok przywrócił, głuchym dał dobry słuch, by chromych postawił na nogi, nieszczęśliwych pocieszył i wszystkich biednych grzeszników nawrócił!...

Miłośnie przygarnęła matka chłopczynę do siebie. — „Widzisz Jasiu! to Duch św. takie wzniosłe myśli ci podsuwa i On te gorące pragnienia budzi w twej duszy. Staraj się być coraz lepszym, strzeż czystości serca i duszy, a na większe łaski zasłużysz. Święty Franciszek też pilnie uważał, czego Pan Bóg od niego żądał i poszedł tą drogą, którą mu światło Boże wskazało".

* * *

Szybko mijał rok za rokiem. Jaś z celującym postępem z klasy do klasy przechodził — a matka jego coraz dłużej nad szyciem siadywała, bo na książki, opłacenie gimnazjum i ubranie syna dużo pieniędzy było potrzeba.

Nieraz, gdy późną nocą szycie kończyła, oczy jej jakoś mgłą zachodziły — ale ona przekonana, że to sen skleja jej powieki, energicznie oczy przecierała i szyła dalej. Czasem sąsiadka, widząc oczy Katarzyny mocno zaczerwienione, pytała troskliwie, o co płakała — lecz zapytana odpowiadała zdziwiona: — „Jabym płakała? — ja, co tyle radości mam w sercu z kochanego Jasia?"

Wprawdzie często i ją niepokoiło jakieś przykre kłucie w oczach, lecz pocieszała się myślą, że to przejdzie.

Tymczasem Jaś zdał świetnie maturę, wstąpił do Seminarjum duchownego i od czasu do czasu odwiedzał drogą matkę w sutannie kleryka.

Był właśnie na III roku, gdy doszła go smutna wiadomość, że matka ciężko zaniemogła na oczy i że lekarz obawia się u niej zupełnej ślepoty. Ból niewymowny targnął sercem Jasia — to pewnie zbytnie wytężanie wzroku przy szyciu tak osłabiło wzrok biednej matki — a on był tego przyczyną...

Gdy ferje świąteczne nadeszły, spiesznie wybrał się do matki. W miarę, jak zbliżał się do domu, w którym szczęśliwe dni dziecięcych lat przepędził, coraz

większy niepokój ogarniał całą jego istotę. Bolesne uczucia nie omyliły go niestety!: zastał ukochaną matkę całkiem ociemniałą...

Ze łzami pochwycił spracowane ręce matczyne i okrywając je gorącemi pocałunkami bez słów wyrażał uczucia swego serca. A ona — jak zawsze — radośnie tuliła go do serca mówiąc:

— „To nic drogi Jasiu! to nic! P. Bóg dał wzrok, P. Bóg go zabrał — niech Imię Jego będzie błogosławione! Z poddaniem się Woli Bożej, cichutko ten krzyż nieść pragnę, bylebym kiedyś tam w niebie mogła P. Jezusa oglądać na wieki! Nie martw się Jasiu! P. Bóg nie opuści mię w tem kalectwie. Nasze schronisko ze szpitalikiem już całkiem urządzone; Zapewniono mię wczoraj, że znajdę tam wygodne umieszczenie i troskliwą opiekę“. —

Zbolały, lecz spokojny wracał młody kleryk do seminarjum. Pogodne poddanie się Woli Bożej, z jakiem jego matka krzyż ślepoty przyjęła, dostarczyło mu materjału do długich rozmyślań. --

* * *

Nadszedł uroczysty dzień „Prymicji“ Jasia.

Kościół parafjalny zapełniony był po brzegi — kto zawczasu miejsca wewnątrz nie znalazł, nie mógł się już do kościoła przecisnąć. Naraz zwarty tłum ludzi rozstąpił się z uszanowaniem, powstał szmer w kościele, wszyscy głowy ku drzwiom zwrócili, w niejednem oku błysła łza szczerego współczucia: to ociemniałą matkę prymicjanta prowadzono do pierwszej ławki przed wielki ołtarz.

Wkrótce odezwał się trzykrotny głos dzwonka przy drzwiach zakrystji, zahuczały organy i umilkły po kilku silnych akordach. Prymicjant zaintonował dźwięcznym głosem: „Veni Creator Spiritus” — a po prześpiewaniu hymnu rozpoczęła się Przenajświętsza Ofiara.

Po Ewangelji wyszedł kaznodzieja na ambonę, przedstawił w porywających słowach wzniosłość i świętość stanu kapłańskiego, zwrócił się z kilkoma serdecznemi zdaniami do biednej matki prymicjanta, a kończąc kazanie zachęcił wiernych do gorącej modlitwy o liczne powołania kapłańskie, bo: „żniwo wielkie, ale robotników mało".

W wielkiem skupieniu ducha i z nabożną modlitwą na ustach uczestniczyli obecni we Mszy św. młodego kapłana i gdy ten zaśpiewał „Sursum corda!" — wszystkie serca rzeczywiście zwrócone były ku górze i każdy, choć na parę chwil o ziemskich troskach zapomniał.

Chór śpiewał już „Sanctus" i nastała głęboka cisza... w świętem skupieniu oczekiwali wierni chwili „podniesienia".

Wreszcie delikatny, dźwięczny głos dzwonków oznajmił, że na słowa prymicjanta Pan Jezus zstąpił już na ołtarz...

Jedni z żywą wiarą i słowami: „Pan mój i Bóg mój" wpatrywali się w Przenajświętszą Hostję, inni kornie chylili czoła ku ziemi, oddając pokłon utajonemu Bogu... Cisza... Nagle od strony pierwszej ławki rozległ się radosny i pełen wdzięczności okrzyk! — „O Jezu! Jezu! ja mojego Jasia widzę!".

Drgnął świętem wzruszeniem młody kapłan przy ołtarzu a lud zgromadzony w kościele szeptem radosnym powtarzał: „Cud! cud! matka prymicjanta przejrzała!".

Nadeszła chwila Komunji świętej — śmiało, bez niczyjej pomocy wstępowała szczęśliwa matka młodego kapłana po stopniach ołtarza i z rąk ukochanego Jasia — promienna nadziemską radością — przyjęła Tego Boga Miłości, który cudownem przywróceniem wzroku, wynagrodził jej ofiarę, złożoną Mu tak ochotnie ze swego najdroższego syna i swego kalectwa. *Hajot.*

Jak to Basia się umartwiła.

(Na tle prawdziwego zdarzenia)

Było kazanie
Płomienne, ogniste,
Jak życie wieść trzeba
Pobożne i czyste,
Gdy się chce trafić prosto do nieba.
Że nie wystarczą same pacierze,
Lecz i pokutę czynić trza szczerze.

O tej pokucie, o umartwieniu,
W piciu szczególnie,
No i w jedzeniu,
Mówił i mówił ksiądz na ambonie
Aż mu perliły się czoło, skronie.
I nie dziwota —
Wie ksiądz, jak ciężką ludziom ta cnota.
Wszyscy słuchali,
Jedni z uwagą,
Inni ziewali,
Bo już tak bywa,
Że i w kościele biedny człek ziewa.

Baśka z Sieniawy
Wiejska dziewczyna,
Co ledwo służyć Bogu zaczyna,
Ledwo wpisała się w Zakon Trzeci
I ona w tłumie stoi i słucha.
Słucha zawzięcie, połyka słowa,
Co gdzieś daleko niosą jej ducha.

O! do umartwień ona gotowa,
Na skrzydłach odtąd w niebo poleci.

Wróciła do dom.
Wciąż w zamyśleniu
Pytała siebie:
Jak to umartwiać trza się w jedzeniu?
Aż tu okazja się nadarzyła.
Obiad! wołają.
Wnet wszyscy w domu za stół siadają,
Basia na misę się popatrzyła.
Smaczne pierogi!
Ach, Boże drogi!...
Bierze jednego,
Z misy — wychodzi,
Po chwili wraca.
— Gdzieżeś ty była?
Matuś pytają
— Krowie do żłobu pierog rzuciłam.
— Ach, bój się Boga!
Cóż za dziwactwa?
Tak to w Tercjarstwie cię nauczają?
— Cicho matulu,
Nie krzyczcie przecie,
Wszak dobrze wiecie,
O czem jegomość mówił w niedzielę,
Że nie potrzeba jeść i pić wiele.

Matka nie zniosła
I przełożonej o tem doniosła ,
Cóż przełożona?

Ot pouczyła
Poczciwą Basię,
Że źle zrobiła.
— „Ze wspólnej misy brać nie należy,
Bo ci to żadne jest umartwienie,
Ha, podniebienia żadne cierpienie,
Coś nas kosztować musi ta cnota,
Tak, Basiu złota!
Nie ze wspólnego,
Ujmować trzeba,
Ale ze swego“.
Basia pokornie tym słowom wierzy,
Boć pragnie poznać drogę do nieba.
Odtąd spróbuje,
Czynić to tylko,
Co ją kosztuje.

S. S.

Słońce Sprawiedliwości.

Między rzeczami materjalnemi a duchowemi istnieje pewna analogja, podobieństwo, na podstawie którego możemy łatwo zrozumieć rzeczy trudniejsze. Bóg dobry i mądry umyślnie tak stworzył świat, aby właśnie nam, istotom cielesno-duchowym umożliwić poznanie tych rzeczy niebieskich, którychbyśmy bez ich podobieństwa z rzeczami materjalnemi nie zdołali pojąć należycie.

I tak się też sprawa przedstawia z analogją między słońcem a Zbawicielem naszym najmilszym, Jezusem Chrystusem, którego Kościół św. nazywa „Słońcem sprawiedliwości“.

Niema człowieka, któryby nie zdawał sobie sprawy z roli słońca, jaką ma dla naszego życia ziemskiego. By jednak dobrze zrozumieć, jakie znaczenie wzglę-

dem nas posiada Boska Osoba P. Jezusa, nie zaszkodzi bliżej nieco tę sprawę rozpatrzeć:

1) Słońce przez swe światło i ciepło daje życie wszystkiemu, co żyje na ziemi: roślinom, zwierzętom i ludziom; każdy z nas pojmuje jasno, że bez słońca niemożliwe jest powstanie i rozwój jakiegokolwiek życia materjalnego.

2) Słońce jest dla nas tak pożyteczne, że im więcej pod jego promieniami przebywamy, to tem zdrowsi jesteśmy i weselsi. Przeciwnie zaś, brak ożywczych promieni słonecznych w dnie pochmurne i dżdżyste daje nam się we znaki, nietylko oddziaływując ujemnie na ciało, ale i na psychikę naszą. Jesteśmy wtedy przeważnie jacyś przygnębieni, smutni i pochmurni.

3) W dnie zaś pogodne, jeśli specjalnie poddajemy się działaniu promieni słonecznych (mam na myśli „opalanie się"), to wtedy w sposób szczególniejszy odczuwamy na sobie ich dobroczynny wpływ.

4) Są jednak pewne stopnie gorąca promieni słonecznych. Wiemy, że najzimniej jest na obu biegunach, podczas gdy najgoręcej na równiku i w krajach podzwrotnikowych. Dzieje się to dlatego, że na równiku promienie słoneczne padają prostopadle na ziemię, a w krajach podbiegunowych bardzo ukośnie.

5) Stąd w krajach podzwrotnikowych fauna i flora jest najbujniejsza i najróżnorodniejsza, a zupełnie inaczej przedstawiają się pod tym względem kraje podbiegunowe, bo im kraj jest zimniejszy, tem mniej posiada roślin i zwierząt.

Dotąd była mowa o stosunku słońca do przyrody, a teraz przychodzi druga część analogji, mianowicie stosunek Pana Jezusa do człowieka. Rozważmy więc krótko, czem jest dla nas Jezus Chrystus w życiu naszem nadprzyrodzonem:

1) Chrystus P. wysłużywszy nam zbawienie wieczne, daje nam łaskę uświęcającą, mocą której zamiesz-

kuje On nasze dusze, jako Bóg wraz z dwiema innemi Osobami Trójcy Przenajśw., i przez to stwarza w nas nowe zupełnie życie, życie nadprzyrodzone. Odtąd staje się dla duszy tem, czem jest słońce dla ziemi. „Beze Mnie nic nie możecie“ — oto Jego własne słowa, które zwięźle mówią nam o bezwzględnej naszej zależności od Niego pod względem nadprzyrodzonym. Bez Jego zasługi nie potrafimy sami z siebie zdobyć nowej najmniejszej łaski uczynkowej, tak potrzebnej do zbawienia.

2) Stąd wynika, iż im większa jest nasza łączność z Chrystusem P., z Jego duchem, z Jego zasadami, tem lepsi się stajemy, więcej nabywając cnót i coraz mniej upadamy.

Przeciwnie, brak Jezusa w duszy wskutek grzechu ciężkiego, powoduje całkowity zanik życia nadprzyrodzonego. Dusza taka jest jak roślina bez słońca. Zamiera, bo niema, ktoby jej dostarczał ciągle siły do życia. Nic smutniejszego nad widok takiej duszy, pozbawionej z własnej winy Jezusa i Jego łaski uświęcającej. Obojętna na życie nadprzyrodzone nie zdolna jest sama nawet pomyśleć o swojem zbawieniu, bo brak jej źródła życia, Jezusa Chrystusa.

3) Jeśli zaś dusza w sposób szczególniejszy stara się o poddanie się woli Jezusowej, wtedy wystawia się — że tak powiem — na intenzywniejsze działanie łaski Bożej. Prawda, że każdy człowiek korzysta z ożywczego słońca, ale też prawda jest, że ten korzysta najwięcej, kto specjalnie opuszcza mury swego mieszkania, zasłaniającego mu słońce, by swobodniej móc przebywać pod gołem niebem. Tak i my, jeśli chcemy więcej korzystać z dobroci naszego Zbawiciela Bożego, musimy porzucić zasady przyrodzonego tylko życia, jakiemi dotąd żyjemy, by pod wpływem przykładu życia Jezusowego nabywać Jego zasad nadprzyrodzonych.

4) Jedynie w tych duszach, które nie stawiają żadnych przeszkód łasce Bożej, Jezus mając swobodną rę-

kę działania, wprost oddziaływuje na ich doskonalenie się, obdarzając je silnem gorącem Swej miłości; podczas gdy inne dusze niezbliżone tak do Niego i Jego zasad, otrzymują normalne tylko promienie łask Bożych.

5) Stąd nie dziw, że w tych duszach, gdzie tkwią silne zasady Chrystusowe, panuje i rozwija się cały szereg cnót, o których mowy być nawet nie może tam, gdzie promienie zasad Chrystusowych nie dochodzą.

Nakoniec porównajmy dzień z nocą, a przyjdziemy do przekonania, że niemożliwem byłoby życie, gdyby noc wiecznie miała panować na ziemi. Strzec się więc nam należy nocy wiecznej dla duszy naszej, spowodowanej przez grzech śmiertelny. Jak w nocy ziemia pozbawiona światła i ciepła słonecznego zamiera chwilowo i niezdolna jest do wydawania owoców, tak w duszy pozbawionej obecności słońca duchowego, Jezusa Chrystusa panuje ciemność i zimno. Ciemność czyli pycha nie pozwala jej nic widzieć, co się odnosi do spraw życia wiecznego, a zimno czyli egoizm nie dopuszcza do powstania jakiejkolwiek cnoty.

W chwilach zastanowienia się nad sobą przypomnijmy sobie tę zasadniczą prawdę, że ziemia, pozbawiona słońca, to wierny obraz duszy pozbawionej Jezusa przez łaskę uświęcającą w niej obecnego. Ta analogja, że czem jest słońce dla ziemi, tem jest P. Jezus dla duszy, niech nam wejdzie głęboko w umysł, by następnie regulować odpowiednio nasze życie nadprzyrodzone.

A zatem jeśli pragniemy być prawdziwie zdrowi i pełni życia i wesela, trzeba nam poddać się ochotnie pod zbawcze i życiodajne działanie łaski Jezusowej, trzeba nam starać się o częste przebywanie z naszem Boskiem Słońcem, byśmy rozgrzani ogniem Jego miłości sami zapałali wzajemną ku Niemu miłością, co jest głównym celem życia ludzkiego na ziemi.

Adam Benel.

KRONIKA

Kraszewice. W dniu 26 lipca r. b., w parafji naszej został zorganizowany III Zakon św. Franciszka dla niewiast i mężczyzn. Uroczystość powyższa została poprzedzona trzydniowemi, zamkniętemi rekolekcjami. Udział w rekolekcjach wzięło 41 osób.

Konferencje wygłaszane przez naszego Księdza, były podniosłe i przekonywujące. Godziny Swięte, różaniec, czytania duchowne, Droga Krzyżowa, Msze św. recytowane lub śpiewane przez uczestników, były naprawdę koroną tych dni prawdziwie szczęśliwych w szarem życiu wieśniaczem.

W niedzielę 26 lipca na Mszy św. uczestnicy przyjęli Komunję św. z rąk O. Józefa Zająca, franciszkanina z Wielunia, który przybył do naszej parafji celem zorganizowania III Zakonu.

O godz. 10·30 odbyła się procesja, poczem uroczyste nabożeństwo z udziałem członków całej A. K. i III Zakonu z parafji Giżyc. Po nabożeństwie O. Józef wygłosił kazanie, zachęcając do wstępowania w ślady św. Franciszka. Następnie zostało przyjętych 21 osób do nowicjatu.

Po tych uroczystościach, odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne III Zakonu w Ognisku R. K. w obecności ks. proboszcza L. Kempińskiego, O. Józefa Zająca i ks. M. Iwańskiego, oraz licznych gości i sympatyków Po wyborach odbyła się wspólna fotografja. Odtąd św. Biedaczyna, Patron prawdziwego czynu katolickiego, będzie naszym Ojcem dla Kongregacji, a przez tercjarstwo dla zorganizowanych zastępów A. K.

Niech będą dzięki Opatrzności Bożej, że powstała szczęśliwa inicjatywa założenia III. Zakonu w Kraszewicach. *Uczestnik.*

POBIEDZISKA.

W dniu 20 czerwca 1936 r. zasnął w Panu nasz Czcigodny Ks. Dyrektor śp. Bolesław Walich. Parafja nasza straciła wiele, bo gorliwego i poświęcającego się dla niej duszpasterza, który przez lat 20 tak gorliwie w niej pracował. Jednak nasza rodzina Franciszkańska straciła jeszcze więcej, bo najlepszego Ojca, kierownika, który poświęcając się w ofiarnej pracy dla naszej gromadki, dbał usilnie o gruntowne duchowe wyrobienie członków. Niech mu Pan Jezus, którego z taką gorącością duszy, czcił w Najśw. Sakramencie i pragnął wszystkie dusze do stóp Jego Najświętszych zaprowadzić, będzie zapłatą zbytnie wielką. *Zarząd Kongregacji.*

Opłacono Ryczałtem

ADRES ZWROTNY:
ADMINISTRACJA „POCHODNI SERAFICKIEJ"
OO. Franciszkanie Kraków, pl. WW. Świętych 5.
Nr. czeku P. K. O. 407.634.

Kalendarzyk na wrzesień

z uwzględnieniem odpustów zupełnych 3-ch Zak. Franciszkańskich (Z. F.) i absolucji generalnej dla członków III Zak. (A. G.)

1. w. św. Egidjusza Opat.
2. ś. bł. Jana Francisz. Bürté m. I. Zak.
3. c. św. Szymona.
4. p. św. Róży z Witerbo p. III Zak. (Z. F.)
5. s. bł. Gentilia a Math. m. I. Zak.
6. **N. 14 po Ziel. Świąt.** bł. Liberata w. I. Zak.
7. p. św. Melchjora i Reginy p.
8. w. *Narodzenie Najśw. Marji Panny.*
9. ś św. Gorgonjusza m.
10. c. św. Mikołaja z Tolent.
11. p. św. Prota i Jacka mm.
12. s. Imienia Marji.
13. **N. 15 po Ziel. Świąt.** św. Filipa m. i Eugenji.
14. p. Podwyższenie św. Krzyża.
15. w. Siedmiu Boleści N. M. Panny.
16. ś. *Such. d.*, św. Kornelego i Cyprjana mm.
17. c. Bli?n św. O. Franciszka A. G.
18. p. *Such. d.*, św. Józefa z Kupert. w. I Zak. (Z. F.)
19. s. *Such. d*, śśw. Januarego i Tow. mm.
20. **N. 16 po Ziel. Świątkach,** śśw. Eustachego i Tow. mm.
21. p. św. Mateusza Ap. i Ewang.
22. w. św. Tomasza z Vilanowa bp. w.
23. ś. Znalezienie Ciała św. Klary, śśw. Linusa i Tekli.
24. c. Matki Bożej od Wykupu Niew.
25. p. św. Pacyfika w. I Zak. (Z. F). bł. Władysława z Gielniowa w. I. Zak.
26. s. bł. Łucji z Katat. p. III Zak.
27. **N. 17 po Ziel. Świątkach,** św. Elzeara w III. Zak. (Z. F.)
28. p. św. Wacława m.
29. w. św. Michała Archanioła.
30. ś. bł. Jana z Dukli w. I Zak., św. Hieronima d. K.

Za pozwoleniem Władzy Zak. i Diecez. **Redaktor O. Czesław Kellar, franciszkanin**

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.